Tymoteusz Kochan

Znajdujemy się obecnie w okresie, w którym coraz więcej walk politycznych przyjmuje formę narodową lub wręcz etniczną. Toczą się krwawe narodowe wojny, do bram Zachodu dobijają się rzesze „obcych" etnicznie imigrantów. Te wojny i fale migracyjne w istotny sposób utrudniają i będą utrudniały sytuację lewicy i właściwe jej podejście klasowe. Ideologicznych masek jest bardzo wiele. Mainstream, zdominowany przez liberalne media, w atmosferze narodowej euforii będzie dalej tuszował klasowy wymiar wojen i ignorował kolonialną przeszłość Zachodu. Doktryny szoku, opisujące katastrofy, które tradycyjnie po wojnach następują napotkają na mur medialnego milczenia.
Atmosfera ta sprzyja niestety postawie kapitulanckiej i powoduje przechodzenie lewicy na bezpieczne, bo akceptowalne mainstreamowo, pozycje liberalne. I w tym przypadku wygoda oznacza ryzyko politycznej zagłady. A tuż za sprzecznościami imperialistycznymi ukrywają się i gotują sprzeczności klasowe.
Skoro czasy złotych żniw i dobrobytu – jak przykładowo mówił o tym niedawno Emmanuel Macron - już minęły, to rosnąca rzesza niezadowolonych musi być mamiona przez nowe obietnice. Będą to obietnice związane z perspektywą socjalną, wręcz socjaldemokratyczną. Dlatego – właśnie pod wpływem kryzysowych okoliczności – liberałowie kokietują postulatem skrócenia czasu pracy, konserwatyści udają, że chcą się wziąć za śmieciówki, a problemy budżetówki nagle stają się politycznie istotne i ktoś o nich mówi. Łatwość z jaką gospodarczy liberałowie przejmują lewicowe dotychczas postulaty świadczy jednak głównie o tym, że były to postulaty lewicowe niedostatecznie. I jest to sytuacja niedopuszczalna. Zamiast radości z bycia cytowanym i wypominania: „to nasz postulat był!", potrzebujemy szybkiego i przede wszystkim odważnego przesunięcia na lewo. Do krainy niemożliwości z perspektywy liberałów i konserwatystów, czyli dokładnie w to miejsce, gdzie powstaje lewicowa różnica.
Skrócenie czasu pracy o większą liczbę godzin niż proponują to inne partie, realne powiązanie minimalnej płacy krajowej ze wzrastającą inflacją i automatyczne rewaloryzacje świadczeń w sprawiedliwym i podnoszącym poziom życia zakresie powinny tworzyć wstępny lewicowy pakiet, do którego należy także włączyć niezbędne programowo: podatek progresywny i podatek majątkowy. Do tego konieczne jest znaczące powiększanie funduszu spożycia zbiorowego, czego otwarcie bądź skrycie pragną nawet prawicowi wyborcy. Cała lewicowa energia powinna skupiać się na postulatach z zakresu radykalnego ulepszania usług publicznych. Od radykalnej reformy systemu zdrowia (kończącej z limitami i wewnętrzną prywatyzacją), po darmową komunikację miejską w całej Polsce i radykalny program mieszkaniowy (nie na drogi wynajem, tylko w socjalistycznym stylu: bezpłatnie). Tylko idąc w gruntownie socjalistycznym kierunku lewica uzyska i utrzyma własną jakość, jednocześnie całkowicie likwidując realną groźbę pożarcia przez liberalizm w roli tęczowej przystawki zmarginalizowanej do zajmowania się sprawami obyczajowymi.
Nieprzypadkowo na inflację najbardziej odporne są państwa takie, jak Francja, gdzie system podatkowy jest wybitnie wręcz progresywny. W czasach długiego kryzysu i długiego szoku coraz więcej podmiotów gospodarczych będzie wymagało państwowego wsparcia. W roli orędownika silnego państwa lewica powinna i musi wypadać najbardziej wiarygodnie. To nie

uda się jej w atmosferze ideologii „taniego państwa” i nagonki na „roszczeniowców”. Wynikający z katastrofy klimatycznej oraz wojen wielki kryzys zmusi istniejący kapitalizm do sięgania po rozwiązania z programu „kapitalizmu wojennego”. Rolą rządów i państw narodowych w mniejszym stopniu będzie wyłącznie opieka nad neoliberalnymi żniwami kapitału, większą rolę odgrywać zaczną cele związane z pacyfikacją błyskawicznie rozwijającego się w społeczeństwie niezadowolenia. Niezadowolenie to będzie miało (i już ma) swe źródło w drożyźnie i obniżce siły nabywczej przeciętnego proletariusza, co najwyraźniej przejawia się poprzez dotkliwą inflację.
Polska jest jednak miejscem szczególnym, ponieważ na naszej politycznej scenie brakuje siły o jednoznacznie propaństwowym i prosocjalnym charakterze, akceptującej progresję podatkową. Innymi słowy: obietnice socjalne i pracownicze, które złożą prawicowe partie w Polsce już po wyborach okażą się niemożliwe do realizacji, ponieważ ani Donald Tusk, ani Jarosław Kaczyński nie wezmą się za sprawiedliwość społeczną i nie tkną skali podatkowej. To reprezentanci elit, uprzywilejowanych właścicieli oraz wielkiego kapitału. Nowe progi w podatkach PIT, CIT, czy podatek majątkowy stoją w sprzeczności z interesami ich bezpośredniego zaplecza politycznego, które zdominowane jest właśnie przez właścicieli odnoszących wielkie korzyści dzięki niskim podatkom i taniej sile roboczej.
Trzeba więc wprost, jasno i całkowicie zdać sobie sprawę z tego, że ewentualna powyborcza koalicja zawiązana z partiami liberalnymi szybko okaże się dla lewicy fundamentalną przeszkodą na drodze do realizacji jej własnego (lewicowego) programu. O ile lewicowi politycy nie obejmą kluczowych ministerstw (pracy, gospodarki), to realizowany program będzie po prostu antyPiS-owskim rewanżyzmem o dobrze nam już znanej twarzy Leszka Balcerowicza: z cięciami lub zamrożeniem rewaloryzacji świadczeń socjalnych, pozostawieniem w mocy niesprawiedliwego systemu podatkowego i groźbą podniesienia wieku emerytalnego. Pozostanie lewicy w rządzie, którego program gospodarczy wytyczać będą dogmatycy neoliberalizmu będzie natomiast jawną zdradą własnych ideałów, a co jeszcze ważniejsze: własnego elektoratu. W dodatku w dalszej perspektywie i ostatecznie będzie oznaczało klęskę i rychłą restaurację PiS-owskiego pseudosocjalizmu z wszystkimi dodatkami…

Lewica czy kwiatek u kożucha?

Popełniane są istotne błędy. Partia, która walczy o władzę nie może już z góry i przed wyborami zapowiadać wielkiej koalicji, gdzie jej rola będzie wtórna, drugoplanowa. Kiedy opadnie kurz wyborczy i dojdzie do głosowania nad budżetem, podatkami i wszystkimi sprawami o fundamentalnym dla polskiego pracownika znaczeniu polski neoliberalizm wypłynie na powierzchnię i prędzej czy później teoretyczny prym na prawicy będą wieść pomysły rodem z Konfederacji. Czy lewica zadowoli się wtedy wyłącznie tym, że być może uda się jej zalegalizować związki partnerskie? Oczywiście o ile humor Donaldowi Tuskowi i Szymonowi Hołowni w tej sprawie dopisze…
Pytanie to jest całkowicie zasadne. Także dlatego, że musimy zdawać sobie sprawę z tego, jak wiele sprzeczności targa każdą organizacją partyjną. Z jednej strony jest program i są wyborcy, którzy posiadają określone oczekiwania. To idee i ich zwolennicy. Z drugiej są zaś interesy i dążenia części działaczy, dla których polityczna droga od pewnego momentu musi się opłacać. Problem w tym, że preferując krótkoterminowe przetrwanie w imię zadowolenia części partyjnego aktywu jednocześnie rezygnujemy z polityki długofalowej: porzucamy plan walki o realną władzę i wyrzekamy się wiary we własny program.

Oczywiście: przygotowywanie się do natychmiastowego przejęcia władzy w realiach (jeszcze) wciąż dość stabilnego kapitalizmu nie ma sensu. Lewica nie zwycięży z organizacjami liberalnymi bez potężnego społecznego kryzysu i załamania. Jeszcze prędzej może jednak zupełnie zatracić się i skompromitować, zostać przysłowiową przystawką, czerwoną ozdóbką i kwiatkiem u kożucha dla kolejnych liberałów – którzy w sposób nieunikniony wkrótce i tak się skompromitują: krach kapitalizmu będą bowiem leczyć większą dawką kapitalizmu, a horyzont polityki społecznej mają tak ciasny, jak eksperci gospodarczy z TOK FM. Przez pewien czas zaprowadzać będą jednak swe porządki korzystając przy tym z legitymacji lewicowego koalicjanta.

To dla lewicy podstawowe zagrożenie. I dlatego musi ona zachować swą tożsamość. Zamiast liczyć, że kapitał jakimś cudem dopuści ją do zarządzania kapitalizmem (jak marzy część uważających się za lewicowych ekspertów), zamiast widzieć system, jako niezmienny i trwały, należy budować pozycję antysystemowej i antyPOPiS-owej alternatywy. Z tego powodu na poziomie teoretycznym lewicowa krytyka kapitalizmu jest już absolutnym fundamentem. A na poziomie praktycznym tym fundamentem pozostaje krytyka liberalizmu oraz oddzielanie się od niego grubą linią. Natomiast bezkrytyczne poczucie wspólnej przynależności do „wielkiej, zjednoczonej opozycji" to automatyczna klęska. Co innego krótkoterminowa (wyłącznie z doskoku) współpraca przy okazji określonych ustaw i interesów. A co innego zapowiadanie wielkiego zjednoczenia z liberałami, będące dla lewicowego wyborcy wyraźnym sygnałem, że jego podmiotowość jest słaba i wtórna, i że w gruncie rzeczy głosuje on na obyczajowe ozdoby Donalda Tuska. Taki wyborca szybko przerzuci się na liberalny oryginał (posiadający swoje „lewicowe" kukiełki), a twardy elektorat lewicy zwyczajnie się rozpłynie.

A podkreślmy: obecny lewicowy wyborca nie jest już usatysfakcjonowany postulatami obyczajowymi. Nowe pokolenie i nowa lewicowa fala są dziś znacznie bliższe socjalizmu niż miękkiej, blairowsko-centrystycznej a historycznie skompromitowanej, socjaldemokracji. Ministerstwo walczy z marksizmem nie dlatego, że go nie ma, ale dlatego, że zainteresowanie nim rośnie. A wiara w system kapitalistyczny i jego „demokrację" błyskawicznie spada.

Przed lewicą więc zarazem okres, kiedy kwestie obyczajowe zejdą na wyraźnie drugi plan. Na pierwszym znajdą się kwestie bytowe i problemy związane z krótkoterminowym przetrwaniem kryzysu, w który klasę pracującą wtrąca kapitał ze swoją żądzą zysku. Kryzysu pogłębionego jeszcze przez sprzeczności imperialistyczne oraz putinowską wojnę. To radykalnie zmienia postać rzeczy i tworzy historyczną szansę, bo lewica najlepiej odnajduje się właśnie w kryzysie, właśnie w bitwie o podstawowe prawa i o elementarną równość. A przecież każdy widzi już, że kapitalistyczna obietnica awansu wszystkich do poziomu zamożnej klasy średniej była ideologiczną bzdurą. Misją niemożliwą dla kapitalizmu zaczyna być już dostarczenie społeczeństwu ciepła w zimnych miesiącach. Sytuacja masowego i jednoczesnego ubożenia buduje też nową wspólnotę. Rodzi się szansa, lecz trzeba umieć ją wykorzystać. Zmiana ta oznacza też konieczność wymiany używanego przez lewicę politycznego języka. Czas zwrócić się do klasy, do ludzi pracy i przemawiać siłą praktycznych rozwiązań oraz konkretnych postulatów. W awangardzie i ostrej kontrze wobec innych. Bez zadowolenia, że w zamian za bycie „wielką koalicją" liberalny salon na chwilę dopuści nas na swoje łamy i salony, bo zrobi to wyłącznie po to, aby wpierw lewicę do siebie przywiązać, a później ją unieważnić. To czas programu gospodarczego i solidaryzmu społecznego. Czas budowania klasowej świadomości i wyznaczania politycznej, klasowej różnicy.

Jak zawsze: kryzys kapitalizmu to dla lewicy dogodny czas i prawdziwa szansa. Powtórzmy: taką szansę trzeba umieć wykorzystać. Tymczasem bezmyślne wejście na wspólny pokład z

antypracowniczymi i żądnymi rewanżu po „socjalnym PiS-ie” liberałami oznacza w tym przypadku groźbę błyskawicznego samounicestwienia. Co gorsza: polska lewica już to przerabiała. I raz już zawiodła elektorat, który głosował na nią, by ograniczyła dziki kapitalizm i przywróciła elementarne – socjalistyczne – bezpieczeństwo…

Tymoteusz Kochan